

### „Szlachetny grzech” – z Tadeuszem Konwickim rozmawia Andrzej Kozioł

**Andrzej Kozioł:** Należy pan do bardzo płodnych pisarzy; w mojej domowej bibliotece pana książki zajmują całą półkę, a jednocześnie przez pewien czas był pan dla mnie pisarzem jednej powieści. W pana twórczości ciągle wracał ten sam motyw. Braku tożsamości, rozpaczliwej niemożności odpowiedzi na proste pytania: kim jestem? skąd się tutaj wziąłem? Narrator dosłownie, jak człowiek dotknięty amnezją, nie wie, kim jest. Temu osobliwemu i przykreemu stanowi towarzyszy zewnętrzne zagrożenie, groźba kataklizmu...

**Tadeusz Konwicki:** Jest taki termin literacki: szukanie własnej tożsamości. Sądzę, że każdy musi, czy też chce, określić się jakoś wobec życia. Musi znaleźć swoje miejsce, zracjonalizować to wszystko, co się wokół niego dzieje. Jest też niewątpliwie pokusa, żeby ten zracjonalizowany świat osadzić na jakichś fundamentach, żeby to była budowla, coś, co człowiek robi przez pisanie. A pisanie jest też formą naszej świadomości, dokumentu naszego istnienia.

**Andrzej Kozioł:** Czy był pan jednak przez pewien czas pisarzem jednej książki?

**Tadeusz Konwicki:** Wie pan, powiem panu wprost: ja to sam wymyśliłem swego czasu i podrzuciłem krytykom. Jest to pewien stereotyp, który ciągle krąży...

**Andrzej Kozioł:** Czy tylko stereotyp, skoro do takiej konstatacji można dojść samodzielnie, bez oglądania się na krytyków?

**Tadeusz Konwicki:** Może to i prawda. Jestem bezradny wobec zarzutu, że się powtarzam.

**Andrzej Kozioł:** To nie jest zarzut.

**Tadeusz Konwicki:** To nie jest zarzut?

**Andrzej Kozioł:** Chyba że można komuś zarzucić konsekwencję. Byli pisarze, na przykład Faulkner lub Caldwell, którzy przez lata budowali, cegiełka po cegiełce, książka po książce, swój jedyny świat. Dla mnie te „powtarzalne” powieści stanowiły coś wyjątkowego. Kiedy byłem na pierwszym roku studiów, wszyscy musieliśmy przeczytać *Sennik*. Był to obowiązek intelektualny, ale jednocześnie coś ogromnie ważnego, wyjątkowo intensywnie przeżywanego. Tak mocno przeżywało się też *Matką Apokalipsę*, ale to były i inne czasy, i zupełnie inna powieść...

**Tadeusz Konwicki:** Bronię się dlatego, że nie chciałbym być zamknięty w jakiejś historycznoliterackiej klatce. Że wierny pamięci Kresów, dzieciństwa, wracający stale do pewnych wątków albo kreujący zagubioną we współczesności postać. Wyrwam się, bo nie dogadza mi to, mimo że w pewnych warunkach takie określenie literata może być nobilitujące i zaszczytne. Dlatego sądzę, że wszystkie moje biedy i klęski wzięły się z tego, że starałem się żyć w sposób naturalny. Nie upozować się, nie stać się pisarzem

przez duże „P”, kapitanem sztuki, pewnym swojego kodeksu artystyczno-moralnego pisarzem, który w jakiś sposób, pod spodem, jest w swojej literaturze kaznodzieją. Tego sceptycyzmu nauczyło mnie moje własne życie i wypływa on też z mojego własnego usposobienia.

**Andrzej Koziół:** Czy sceptycyzm pozwala panu na szczególnie ciepły stosunek do jakiejś własnej powieści?

**Tadeusz Konwicki:** Nie mam swojej ulubionej powieści. Wiadomo, że nigdy w życiu nie zaglądałem do swojej książki po jej wydrukowaniu. Tylko kilka razy zmuszono mnie do jakiejś korekty przy wznowieniach. Przeleciałem się wtedy po niektórych powieściach, ale nie pamiętam nawet ich fabuły. Wynika to też z tego, co powiedziałem poprzednio – żeby, broń Boże, nie celebrować. Są to jakieś zapisy mojej obecności, stanu mojej świadomości, mojej sytuacji psychologicznej i jeżeli komuś są one przydatne, jeżeli ktoś chce do nich sięgnąć – to dobrze, a jak nie – to trudno. Mam dość brutalny stosunek do swoich książek, to znaczy uważam, że powinny się bronić same. Jeżeli się nie bronią, to niech przepadają.

Z tym że oczywiście łatwo może się pan domyślić, że życzliwszy jestem dla tych książek, które zdobyły mniejszą poczytność i są przez to jakby bardziej upośledzone. Zwykle sentymenty rodzicielskie każą mi o nich przypominać sobie z pewną melancholią.

**Andrzej Koziół:** Które swoje powieści uważa pan za dzieci skrzywdzone przez los?

**Tadeusz Konwicki:** Byłem silnie potępiany czy atakowany – także w Krakowie<sup>1</sup> – za *Nic albo nic*. Dałem temu żartobliwy wyraz w *Kalendarzu i klepsydrze*, przedstawiając męki literata zganionego przez krytykę, ale później zorientowałem się w kontaktach z czytelnikami, że dla pewnych ludzi ta powieść coś stanowiła, dla niektórych czytelników była nawet przeżyciem. Burzliwe biografie mają nie tylko autorzy, lecz także książki. Kisiel łatwo wówczas streścił *Nic albo nic*: że Konwicki ma kompleks wampira, że morduje kobiety. Jest to strasznie łatwa i banalna konstatacja, ponieważ w tej chwili, kiedy sytuacja psychologiczna na świecie bardziej się skomplikowała, trudno byłoby tak streścić tę książkę.

**Andrzej Koziół:** Nie chcę pana zamykać w klatce, ale kiedy patrzę na pana zdjęcie z dzieciństwa, myślę: a więc tak wyglądał Polek z *Dziury w niebie*. Nasz wspólny znajomy, a pana krajan, Grigorij Kanowicz, twierdzi, że dla pisarza nie są ważne doświadczenia całego życia, że tworzywo dla jego twórczości stanowi kilka lat dzieciństwa. W życiu takiego pisarza jak pan dzieciństwo wydaje się szczególnie ważne. Jakie były pana książki z tamtych lat, oczywiście czytane, jeszcze nie pisane?

**Tadeusz Konwicki:** Uwielbiałem czytać i przeleciałem to, co czytało moje pokolenie. Przede wszystkim książki Karola Maya, podróźnicze, sensacyjne. Później, w gimnazjum, przyszła fascynacja literaturą angielską, pewnym stylem, dystansem do życia, który nawet z czasem utrwalił się i powtarzał później, jak na przykład u Tyrmanda, w jego książkach – pewna aura, pewien typ ironii, nonszalancji. Wywodziło się to z ówczesnych

<sup>1</sup> „Dziennik Polski” ukazuje się w Krakowie. Aluzja do artykułu Aleksandra Fiuta z UJ, wydrukowanego w „Tekstach” w 1974 r.

sfer licealnych, a socjolog lub psycholog społeczny mógłby powiedzieć, że było jedną z form podświadomego przygotowywania się tamtego pokolenia do wojny.

**Andrzej Koziół:** Wywodzi się pan ze zdeklasowanej, dotkniętej przez los, szlacheckiej rodziny.

**Tadeusz Konwicki:** Tak.

**Andrzej Koziół:** Czy w takich rodzinach wiele się czytało?

**Tadeusz Konwicki:** Mało się czytało. Nie dość, w pewnych kręgach czytanie literatury uważano za rodzaj niewielkiego grzechu, za marnowanie czasu, za zwracanie sobie głowy głupstwami. Trzeba pamiętać, że były to tak zwane Kresy, obszar ciągle żyjący XIX wiekiem, w bardzo ciężkich warunkach, bo na przykład Wileńszczyzna była obszarem najbardziej rusyfikowanym, następowała tam pauperyzacja, deklaszacja, były przymusowe i długoterminowe służby w carskim wojsku. Wszystko to wpływało na pewne zacofanie i ubóstwo, a w związku z tym powstał kult pracy. Zwyklej, codziennej, szarej pracy, od której nie powinno się być odrywać dla niebezpiecznych rozrywek, nie mówiąc już o filmie, który uważano za dzieło szatana.

**Andrzej Koziół:** A jakie były pana lektury okresu młodości i wieku dojrzałego? Co z literatury zrobiło na panu szczególne wrażenie?

**Tadeusz Konwicki:** Kiedyś jakaś gazeta przeprowadzająca ankietę zapytała mnie, jaką książkę wziąłbym ze sobą na bezludną wyspę. Odpowiedziałem, że całą bibliotekę. Co zrobiło największe wrażenie? Większość rzeczy, które czytałem, w jakiś sposób przeżywałem. Kształtowały mnie w tej chwili, w tym momencie, kiedy byłem nimi zajęty. Oczywiście na przełomie dzieciństwa i wieku młodzieńczego pochłonąłem całego Żeromskiego, byłem zatopiony w romantycznej aurze, bo była ona właściwa temu obszarowi geograficznemu, gdzie rosłem. Widzi pan tutaj, na półce, zdjęcie marszałka Piłsudskiego. Lubię go, czy też mam do niego sentyment, z tego względu, że był on cały przesiąknięty romantyczną trucizną.

**Andrzej Koziół:** Pojawia się nawet w pana literaturze w dość osobliwy sposób – w *Bohini* – jako mały, zagubiony w lesie chłopiec... Twierdzi pan, że Piłsudskiego w pewien sposób uformowała literatura romantyczna. Czy nasza powojenna rzeczywistość zaowocowała literaturą bezpośrednio wpływającą na ludzkie postawy?

**Tadeusz Konwicki:** Dzisiaj ciężko to zbadać. Dawniej było łatwo, weźmy na przykład drugą połowę XIX wieku, miasta jeszcze niewykształtowane, zwłaszcza u nas, w mołochy, życie na prowincji nudne, monotonne. Przychodziły czasem gazety, przychodziła jakaś powieść, na przykład Flauberta, i była ona sensacją. Żyło się nią miesiącami, czytało po kilka razy, ponieważ było mało bodźców mogących zdeterminować ludzkie życie. A dzisiaj jest Niagara. Mam telewizor, w którym jest dwadzieścia stacji, a na każdej stacji można codziennie obejrzeć cztery, pięć filmów; a gdzie radio, gazety, plotka, życie ulicy...

**Andrzej Koziół:** Wróćmy do pana twórczości – czy próbował pan ją jakoś periodyzować?

**Tadeusz Konwicki:** Wiele razy zaczynałem życie na nowo, co jest zresztą zapisane w horoskopie mojego znaku. Urodziłem się pod konstelacją Raka, a Raki ciągle zaczynają

życie na nowo. Przez pewien czas miałem też burzliwy życiorys i wszystko składało się na to, że wydawało mi się, że coś zamykam i coś zaczynam na nowo.

**Andrzej Koziół:** Dobrze, skoro samo życie nie pozwala panu na zakreslenie granic pomiędzy poszczególnymi etapami twórczości, nie mówmy o periodyzacji, mówmy o rodzajach twórczości...

**Tadeusz Konwicki:** Przyznam się panu, że jestem dosyć zniechęcony.

**Andrzej Koziół:** Do czego?

**Tadeusz Konwicki:** Do wszystkiego. Do życia przede wszystkim. Należę do tego pokolenia, które za wcześnie weszło w świat dorosłości. Miałem trzynaście lat i już z pistoletem, z tamponem udającym maskę przeciwgazową i z płynem, którym nasączało się ten tampon, byłem strażnikiem torów kolejowych w 1939 roku. Myśmy za wcześnie wystartowali, wobec czego zupełnie naturalne jest u mnie przedwczesne postarzenie się. Trochę się zniechęciłem i dlatego nawet na swoje książki nie jestem w stanie spojrzeć jak na świeże i aktualne zjawisko, w którym jeszcze bym coś poprawiał, zmieniał. Dlatego z pokorą słucham, na jakie jestem wstawiany półki, czasem nawet manipulowany.

**Andrzej Koziół:** Niebezpieczna to pokora, pozwalająca na opaczny, sprzeczną z intencjami autora, interpretację...

**Tadeusz Konwicki:** Jest pewien życiowy kłopot naszej krytyki, polegający na tym, że i ona, biedna, też nie była przez pięćdziesiąt lat samodzielna. Też pozostawała pod srogim nadzorem cenzury, w atmosferze pewnych hysterii politycznych, pewnych nastrojów – jakby chciała tłumaczyć literaturę w konkretnym momencie, błysku fleszu danej chwili. Towarzyszyła temu ciągła konstatacja, że nie ma literatury, i ciągłe biadanie na ten temat. Myślę jednak, że jeżeli ludzie obejrzą się wstecz, zobaczą, że jednak była literatura. Coś stanowiła, coś kształtowała, pomagała wchodzić w życie następnym generacjom.

**Andrzej Koziół:** Twierdzi więc pan jednak, że literatura pomagała nam przez ostatnich pięćdziesiąt lat.

**Tadeusz Konwicki:** Nie twierdę, ale tak uważam.

**Andrzej Koziół:** Czy pana książki też pomagały?

**Tadeusz Konwicki:** Ponieważ mam do tych spraw dystans, mogę powiedzieć, że moje książki – nie swoją treścią, nie walorami literackimi, ale samą obecnością, chociażby w drugim obiegu – jakoś pomagały, o czymś przypominały.

**Andrzej Koziół:** *Mata Apokalipsa* była odczytywana nie tylko jako polityczna groteska, coś w rodzaju *political fiction*, ale przede wszystkim jako zapowiedź szybkiego upadku systemu.

**Tadeusz Konwicki:** Widzi pan, literatura mogła tknąć leciutko sumienie albo przypomnieć o możliwych innych wariantach historii. Sądzę, że w polskiej sztuce – sztuce, bo myślę i o filmie, i o muzyce, i o malarstwie – było wyczuwalne jakieś tętno i przyczyniło się ono do obudzenia społeczeństwa, bo same pobudki wiecowe nie wystarczały, potrzebne były głębsze.

**Andrzej Koziół:** Do kogo zwraca się pan dzisiaj, kiedy już nie trzeba budzić społeczeństwa, a na wydawniczym rynku dominuje banal i kicz? Chyba nie do tak zwanej szerokiej rzeszy czytelniczej...

**Tadeusz Konwicki:** Pisanie jest u mnie pewną funkcją samotności właściwej każdej ludzkiej egzystencji. Wszyscy utyskują na osamotnienie, po prostu jesteśmy tak skonstruowani i takie nas dzielą różnice, że każdy trochę czuje się sam. Papier jest pierwszym powiernikiem. To pierwszy motyw. Drugi polega na tym, że niezależnie od tego, jaka była krytyka, zawsze byli też – a raczej przede wszystkim – czytelnicy. Pewna histeria czytelnicza wynikająca z warunków historyczno-politycznych spowodowała, że kontakt był intensywniejszy niż w innych społeczeństwach. Nie polegał na nakładach, na listach bestsellerów, na zarobkach – tylko na satysfakcjach moralnych. W związku z tym i ja, grzeszny, orientowałem się, że mam jakiś krąg czytelników. Ponieważ mam sceptyczne usposobienie, zakładałem, że mam pewną grupę ludzi, którzy są może do mnie podobni, może mają podobne usposobienie, może się pod tym samym znakiem urodzili. Ci ludzie chcą mnie czytać. Po prostu podobam się im. Są też czytelnicy, których rozwścieczam...

**Andrzej Koziół:** Kogo pan rozwściecza? Co w pana powieściach może budzić agresję?

**Tadeusz Konwicki:** Mój światopogląd. Mój sposób patrzenia na życie. Moje poczucie humoru, które każe mi bagatelizować wartości dla innych ludzi święte, nadzwyczajne, nienaruszalne. To, że lękam się patosu, lękam się włączania w chór. To wszystko mogło irytować wielu ludzi. Dlaczego więc mnie czytali? Dlatego że – szczególnie przy drugim obiegu – wytwarzała się pewna moda i pewien obowiązek czytania. Ktoś przeczytał i zirykował się, ale nie mógł do mnie napisać obelżywego anonimu, bo nie pozwalała mu na to pewna nabożność opozycyjno-podziemna. Czytało mnie za dużo ludzi. Miałem wydania idące w setki tysięcy egzemplarzy, które mnie przerażały. Mój krąg czytelniczy – to maksymalnie dziesięć tysięcy osób.

**Andrzej Koziół:** Wie pan, dlaczego ja lubię pana literaturę? Zawsze fascynowały mnie opowieści o umierającym świecie, pełne smutku, pachnące niczym przekwitające kwiaty. Tak smakuje na przykład *Marsz Radetzkiego* Josepha Rotha, opowieść o końcu austro-węgierskiej monarchii, tak smakują pana powieści. Są smutne, ale jednocześnie – i to już pana specyfika – ogromnie ciepłe, niepozbawione humoru.

**Tadeusz Konwicki:** Są dwa rodzaje smutku. Jest smutek ciepły, z uśmiechem, a zatem konstruktywny, i jest smutek nihilistyczny, lodowaty, pusty. Ja, któremu czasem zarzuca się jakiś rodzaj pesymizmu, uważam, że mój smutek jest do przyjęcia, a moje doświadczenie podpowiada mi, że nie pogłębia w ludziach frustracji.

**Andrzej Koziół:** Więcej – błyska humorem.

**Tadeusz Konwicki:** Bo jest współczujący. Jedziemy wszyscy na jednym wózku.

Pierwodruk: „Dziennik Polski”, maj 1995 roku



Hana Puchová, *Tereza (Teresa)*, akryl na plótnie, 85,4x125 cm, 2002